



N^o 30



D 30.

BIBLIOTEKA
TEATRALNA.

98-100









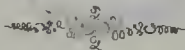
ODRODZONY

KOMEDJA W TRZECH AKTACH,

przez

KAROLA PIENKOWSKIEGO.

Treść zapożyczona z powieści *J. Kraszewskiego*, pod napisem:
„Dziwadła“



WARSZAWA,

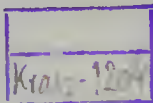
Nakładem Księgarni Polskiej A. Dzwonkowskiego i Spółki.
przy ulicy Miodowej Nr. 482 (4).

—
1860.

OSOBY.

KONIUSZY		P. Linkowski.
IRENA, wychowanka. }	Koniuszego	Pani Rakiewicz.
JERZY, wnuk . . . }		P. Bodurkiewicz.
KAPITAN		P. Trapszo.
GRABA		P. Chęciński.
EKONOM Koniuszego.		
STANISŁAW, lokaj Jerzego		P. Dąbrowski.
Kilku obywateli.		

Rzecz dzieje się na Polesiu.



Wolno drukować, pod warunkiem złożenia w Komitecie Cenzury po wydrukowaniu prawem przepisanej liczby egzemplarzy.

Warszawa, dnia 1 (13) Października 1860 r.

Starszy Cenzor, F. Sobieszczański.

w Drukarni J. Glöcksberga.

ODRODZONY

KOMEDJA W TRZECH AKTACH.

A K T I.

Obszerna sala, meble staroświeckie, mieszkanie Koniuszego.

SCENA I.

JERZY, *później* STANISŁAW.

JERZY, *sam siedząc w fotelu.*

Jechać lub zostać?... oto dwa wyrazy, dwa zapytania, na które odpowiedzieć nie mogę, które się stały ciągłym przedmiotem smutnego dumania. Jechać?... lecz dokąd?... z kwestyi, kwestya; dobra sprzedane, kredyt nadużyty, długów po uszy, nie ma miejsca gdziebym mógł spocząć, a raczej nie ma sposobu, ażeby wrócić do dawnego, próżnego myśli lecz pełnego powabu warszawskiego życia. Warszawo! w snach ukazująca się, spragnionym oczom moim. Warszawo! niewdzięczna matko lwów nowomodnych, migocąca w wspomnieniach srebrną szyjką szampa i srebrnym Marego półmiskiem, talią kart atlasowych i talią ponętnych dziewic wydziału choreograficznego, czyż już na wieczne męki, sieroctwo, skazałaś najwierniejszego z najniewierniejszych powołaniu birbanta?!.... *(po chwili.)* Trzeba zostać!.... patrzeć w to niebo ołowiane, pisać listy do wesóło biesiadujących przyjaciół, wspominać dawne grzechy i czekać: dopóki jaka

defektowa panna lub wdówka pamiętająca dawne czasy, nie znęci się wykończonemi starannie manierami, nie zagustuje w człowieku uniejącym przez dwie godziny prowadzić rozmowę, o niczem, i nieopłaci półmilionem tych zalet długą praktyką zdobytych.

(wchodzi Stanisław.)

JERZY, *dając mu list.*

Oddaj na pocztę.

STANISŁAW, *nie biorąc.*

Nie ma potrzeby.

JERZY, *zdziwiony.*

Jakto nie ma potrzeby?

STANISŁAW.

Bo ja go sam odniosę do Warszawy chociażby piechoto. dłużej już jak Boga kocham! wytrzymać nie mogę.

JERZY, *siadając.*

Takżeś znudzony.

STANISŁAW.

Et! dałbyś pan pokój tym żartom w które sam nie wierysz. Dziwię się że pan tak dobrze wychowany może wysiedzieć w tej pustyni.

JERZY, *z westchnieniem.*

Biedny mój Stachu, tęsknotę twą pojmuję, dziele, lecz cóż poradzę?

STANISŁAW.

Co?..... niby Warszawa to jakieś bagno Poleskie? Dwa miesiące pan nie byłeś, wróciemy opaleni, lichwiarze pomyślą że interesa dopisały, pożyczą pieniędzy i jakoś będzie.

JERZY.

A jeśli na termin nie oddam koza nieominie.

STANISŁAW.

I to panie nie zły interes. Rozsądny człowiek ze wszystkiego skorzysta, familia pańska nie zezwoli żeby języki żydowskie szarpaly jej nazwisko.

JERZY.

Wiesz oddziaływa na ciebie nieoceniony giermek ulicznych rycerzy, idealizujesz. Przypuśćmy jednak że wszystko pójdzie wedle życzeń naszych, za cóż wyjedziemi?

STANISŁAW.

Za co?..... dalibóg że nie poznaję pana, a Koniuszy? wszakże to dziad rodzony, słówko tylko i.....

JERZY, *mocno*.

Nigdy!..... Chciałbyś żebym o jałmużnę prosił?.....

STANISŁAW, *składając ręce*.

Panie Jerzy, upamiętaj się proszę, o jałmużnę? któż mówi? Przecież po to tylko przyjechaliśmy żeby wyrwać pieniędzy, zepchnąć co ważniejsze długie (z *ruchem*) i do Warszawy! (*d. s.*) Do czego przyszło! lokaj uczy pana rozumu!

JERZY.

Nie Stanisławie, nie przekonasz, musimy jeszcze pewien czas pozostać w Turzój Górze.

STANISŁAW, *z determinacją*.

Na upór nie ma lekarstwa, niech pan siedzi, ja wracam do Warszawy; proszę o zasługi.

JERZY.

Wiesz przecie żem już oddawna powiększył komplet świętych tureckich.

STANISŁAW, *błagalnie*.

Zlituj się pan nademną ja zamrę tutaj, albo owaryuję!

JERZY, *uderzając go po ramieniu.*

Umrzeć ci niepozwole. Odejdź i odnieś list na pocztę.

STANISŁAW, *odchodząc.*

Nie ma sposobu wyjść z tej wilczęj jamy. *(odchodzi.)*

SCENA II.

JERZY *poźniej* KONIUSZY.

JERZY, *chodzi, poźniej mówi z goryczą.*

Miał słusność, przyjechałem po jałmużnę, wyprosić trochę pieniędzy, by kosztem poniżenia własnego, okupić kilka chwil odurzających umysł, prowadzących do zbydlęcenia, do stopienia ostatka uczucia w kieliszku, w zagiętym parolu, w beczeluyim śmiechu zalotnicy!... Piękna zaprawdę przyszłość!... ha, niechże się stanie co ma być!..

(wchodzi Koniuszy.)

KONIUSZY.

Niech będzie pochwalony. *(podaje rękę Jerzemu.)* Musi być kiepsko spałeś, oczy czerwone, jakby u królika!

JERZY.

Dziękuję za pamięć, owszem spałem przewybornie.

KONIUSZY.

Pewno zmora dusiła, bo to się przytrafia, musi być na wznak sypiasz?

JERZY.

Zgadłeś panie Koniuszy.

KONIUSZY.

Wystrzegaj że się, sen bo i apetyt młodemu potrzebny. Jadłeś śniadanie?

JERZY.

Koniuszy nazbyt łaskaw, nie wiem czem mogłem zasłużyć na tyle względów.

KONIUSZY.

Ot masz go z konfektami! Musi być nie nie robisz, tylko się w grzecznościach cwiczysz.

JERZY.

Pan Koniuszy kostyczny.

KONIUSZY, *niedosłyszawszy.*

I bardzo kościsty. Ósmy krzyżyk paniczu a na koniu siedzę....

JERZY.

Jest czego powinszować.

KONIUSZY.

Żyło się skromnie więc Bóg błogosławi. *(po chwili.)* Siadaj że Jurku, ja trochę zmęczony, wytropilem dziś losia, a sarna na rożnie. Piękna okolica! te poleskie strony, raz zobaczysz zapomnieć się nie da.

JERZY, *ziewając.*

O bardzo zajmujące!

KONIUSZY.

Jest panie gdzie pochulać, tu las, tam bagnisko, człowieka ani słyhu, zwierzyny bez liczby, polowanie rok cały... *(po chwili.)* Ot stary się zagadał, a jegomość ziewa. *(śmieje się.)*

JERZY, *zakrywając usta chustką.*

Gdzież znówu....

KONIUSZY, *śmiejąc się.*

Nie udawaj koteczku, oko mam pewne, choćby w lot jaśkółkę. *(patrzac na Jerzego.)* Przyznaj się dziadowi, musi być skromnością nie grzeszyłeś?

JERZY.

Zkąd wniosek podobny?

KONIUSZY.

Z oczów mój kochany, fortunkę przeszastałeś, no powiedz paniczu.

JERZY, *powstając stanowczo.*

Z czynności moich i postępowania, przed sobą samym tylko zwykłem zdawać rachunek.

KONIUSZY, *n. s.*

Jest krew jest, ale już popsuta. (*głośno.*) Musi być w gorącej wodzie jegomość kapany; toć nie cygan ale dziad rodzony pyta, nie chce pokrzywdzić, lecz pomódz w potrzebie. Siadaj że, mówmy z sobą szczerze, przyjechałeś po radę, najlepszą radą pieniądze. Co, zgadłem?

JERZY.

Panie Koniuszy nadużywasz praw gospodarza.

KONIUSZY.

Panie Jerzy, starego dziada posłuchać nie laska.

JERZY, *siadając z boleścią.*

A to okropne, każdy mi uraga!

KONIUSZY, *n. s.*

Jest charakter, jest. (*głośno.*) Jurku! niech do dzika chybę, jeśli ci uragał. Toć ty mój krewniak, nieba ci przychyle. (*ciszéj chodząc niepokojnie.*) A! kapitan bestya, piwa mi nawarzył!

JERZY.

Cóż znaczą te zapytania?

KONIUSZY.

Co znaczą zgadnąć łatwo. Musi być dziad nie sknera kiedy o to pyta. Straciłeś majątek żal nie pomoże, trzeba złemu poradzić, a u mnie nic nie wysiedzisz.

JERZY, *zrywając się.*

Więc jutro wyjadę, dziś jeszcze daj koni!

KONIUSZY.

A niegodziwy kapitan w łeb pałać niecnocie! (*wyciągając rękę.*) Jurku, tego nie zrobisz, z gniewem w sercu dziada nie porzucisz, wierz mi, kocham cię, ale dłużej nad pięć dni przetrzymać nie mogę! (*kładąc na stół pieniądze.*) To co ci daję bierz na początek, długi zapłać, i wspomnij bez żalu dziada Koniuszego!

JERZY, *niebiorąc pieniędzy.*

Widzę że jakiś ważny powód zmusza pana do wyprawienia mnie z Turzój Góry, szanuję go. pieniądze jednak niebiore, a o konie proszę.

KONIUSZY. *n. s.*

Musi być, jest charakter. (*głośno.*) Jurku! jeśli mnie kochasz zostaniesz, i pieniądze weźniesz. psim swędem cię nie zbywam, 5,000 dukatów ma swoje znaczenie. a po śmierci więcej.

JERZY.

Choćby sto nie przyjmę!...

KONIUSZY.

Przyjmiesz. krzywdy ciężkiej dziadowi nie zrobisz i pięć dni zabawisz zenmą... Nie pytaj dla czego cię wyprawiam, musi być wielka przyczyna, kiedy nam obu boleść sprawia.

JERZY.

Na pięć dni, tę jakąś liczbę zakłętą. zgoda, wierzaj mi Koniuszy, że dzisiejsze postąpienie nie osłabi we mnie dobrego o panu przekonania, lecz o pieniądzach jeśli nie chcesz obrazić więcej nie wspominaj, to moje ultimatum.

KONIUSZY, *ściskając go.*

Musi być szlachetny, gdy tak pięknie gada, ale z czego żyć będziesz?

JERZY.

Pracy się nie zlekne; w Warszawie mam stosunki, chcącemu ludzie i Pan Bóg pomoże.

KONIUSZY.

Ej Jurku Jurku po co ty się szastał po tój przeklętej Warszawie, po co dziadowskie pokrwał serce, ale nie mogę, dalibóg nie mogę. (*chodząc.*) Nie, nie takiego mi trzeba, w głowie pstro!

SCENA III.

Ciż i KAPITAN.

KAPITAN, *zawsze ugrzeczniiony.*

Pana Koniuszego dobrodzieja nóżeczki całuję, o drogie mi zdrowie pytam? (*ściskając się.*)

KONIUSZY.

Chwała Bogu! a kapitan?

KAPITAN.

Do usług pana dobrodzieja, zdrów póki z nim łaska boska i przyjaźń kochanego Koniuszego. (*do Jerzego.*) Nie znudził się pan jeszcze naszymi stronami, trochę dziko, wesółych okolic korony, nie nie przypomina...

JERZY, *grzecznie.*

Przepędzony tutaj czas policzę do najuilszych chwil w życiu, Koniuszy tak łaskawie przyjął, a kapitan witał...

KAPITAN.

O panie dobrodzieju nie wstydź pokornego sługi, krew Koniuszego dla mnie relikwią. Gdybym był majątny, złotem

brukowałbym miejsca, gdzieście tylko stąpili w mój ubogięj chacie.

JERZY, *d. s.*

Ta posunięta aż do poniżenia grzeczność kapitana i odgróźki Koniuszego muszą w sobie coś ukrywać.

KONIUSZY.

Kapitan pozwoli czem przekąsić, droga szkaradna, wyboje, a wózek trzęsie....

KAPITAN.

To trudno mój dobrodzieju, ledwo na suchy kawałek chleba i kieliszek wódki starczy, trzeba się wózkiem obywać, co innego p. Brożek, inna rzecz kapitan.

KONIUSZY.

Toć i ja nie Krezus.

KAPITAN, *powstając prędko.*

O panie Koniuszy, daj ci Boże miliony codziennie, o to gorąco się modłę. (*ściskając się.*)

KONIUSZY, *n. s.*

Musi być znowu figla mi spletał, całuje niby dzika. (*głośno.*) Pobawcież się tutaj sami, a ja do kuchni zajrzę.

KAPITAN.

Dla mnie proszę nie robić żadnych ceremonii, choć zajrzeć nie zawadzi; gości tylko co niewidać.

KONIUSZY, *prędko.*

Jakich gości?... nie prosilem nikogo.

KAPITAN.

Znając dobrze serce Koniuszego dobrodzieja, poważylem się w jego imieniu...

KONIUSZY.

Kogoż zaprosileś?... (*n. s.*) Ani chybi Irenę, krew mnie zaleje!

KAPITAN, *niestłyszac.*

Pan Jerzy także ciekaw z jakimi ludźmi żyjemy, chciałem się pochwalić...

KONIUSZY, *z niechęcią.*

Kim się tu pochwalisz? nie dla Warszawiaka nasze towarzystwo.

KAPITAN.

Śmiem Koniuszemu zaprzeczyć a Graba toć bywał zagranicą....

KONIUSZY.

Dziwak!

KAPITAN. *powoli.*

Graba nie jeden. znajdziemy jeszcze.

KONIUSZY.

Któż więcj.

KAPITAN, *słotko.*

Pupilla pańska, Irena!

(spogląda na Koniuszego.)

KONIUSZY, *gwałtownie.*

Prosiłeś Irenę?

KAPITAN, *j. w.*

Jadąc wstąpiłem do Rumianój, zastałem tam Grabę, opowiedziałem *(z ukłonem.)* o przeznacnym gościu, zaintrygowani nie tracąc chwili pospieszą.

KONIUSZY, *groźnie.*

Mówiłeś o Jerzym?.... prosiłeś Irenę!....

KAPITAN.

Prosiłem. Irena kazala oświadczyć że nie... *(zatrzymuje się.)*

KONIUSZY, *prędko.*

Że nie przyjedzie?

KAPITAN, *powoli.*

Czyżby mogła taką krzywdę Koniuszemu wyrządzić? Owszem przyjedzie, tylko kazała oświadczyć że nie przebaczy nigdy panu długiej niebytności wraz z wnukiem w Rumianój.

KONIUSZY, *ponuro.*

Prosileś Irenę!...

KAPITAN.

Wiedziałem czemu serce Koniuszego ucieszyć. (*wskazując na Jerzego ciszej.*) Szkoda by Ireny wydać za jakiego grubego szlachcica, Jerzy przyzwoity, dobrze wychowany...

KONIUSZY, *z tajoną złością.*

Nic z tego, za pięć dni wyjeżdża. (*odchodząc.*) Musi być diabli porwą mnie ze złości!

SCENA IV.

KAPITAN i JERZY.

który podczas tej sceny, patrzył na nich z zadziwieniem.

KAPITAN.

Pan dobrodziej, jeżeli mnie słuch nie myli wyjeżdża?

JERZY, *obojętnie.*

Tak jest, wyjeżdżam.

KAPITAN.

Pozwoli pan swemu słudze zapytać dokąd?... do dóbr zapewne....

JERZY, *zmięszany.*

Nie.... do Warszawy.

KAPITAN.

Dotkliwą szkodę pan nam wyrządzasz, jakoś przy młodym weselėj a od tak dystygowanėj osoby zawsze się coś skorzysta, usłyszysz.

JERZY.

Tym razem ja chciałem kapitana o wiadomość prosić.

KAPITAN.

Pytaj pana, cały na jego usługi.

JERZY.

Naprzód o nieznanym mi jeszcze Grabie.

KAPITAN.

To człowiek którego ślady całować.

JERZY.

Dobry?

KAPITAN.

Dobry to za mało, cnotą przepelniony.

JERZY.

Więc iść w jego ślady?

KAPITAN.

Iść niepodobna.

JERZY.

Dla czego?

KAPITAN, *z politowaniem.*

Nowator, łaskawy panie, zwozi z końca świata maszyny, zaprowadza szkółki!... Ja kocham chłopą ale cóż? sam bez butów chodzę, trudność ostatnią koszulę ściągnąć z grzbieta. Latwo panie dać tysiąc kiedy ich sto mamy, albo rezonować o komunizmie gdy pustki w kieszeni! Z resztą rzeczy do-wiedzione, naucz chłopą czytać to cię sproprocessuje; oczynszuj, nie dbaj; nie zagroź batogiem, wyjdzie na łajdaka i propi-nacyę diabli wezmą. Nie można, jak pana poważam, nie można, szanuję wszelkie przekonania, od swoich jednak nie odstąpię; z naszym ludkiem pocziwym jak z dzieckiem: różeczką, różeczką!

JERZY.

To kwestya dla zdecydowania której potrzeba więcej wiadomości nad te, jakie posiadam. Więc wracając do pana Graby, czy ma rodzeństwo.

KAPITAN.

Mieszka z synem, miał żonę, ale się z nią rozwiódł.

JERZY.

Jakiż był powód do tyle przykrego kroku?

KAPITAN.

Żaden. Zwyczajnie dziwak, pani chciała za granicę, „nie“ powiada, „kochanko siedź w domu, bądź matką twych dzieci,“ tak chłopów nazywa. Kobiecisko się gryzło, gryzło, a nie mogąc wytrzymać, poszło do rozwodu.

JERZY.

Zaostrzasz pan moją ciekawość, to człowiek potężnej duszy!

KAPITAN.

Młodym się podobają takie temperamenta.

JERZY.

Słówek jeszcze, przepraszam pana że śniem trudzić...

KAPITAN.

O nie nie szkodzi, wyświadczasz mi pan prawdziwą przyjemność.... Służę panu dobrodziejowi.

JERZY.

Chciałem zapytać o pannę Irenę, która wnioskuje z rozmowy panów, musi bardzo blisko obchodzić Koniuszego?

KAPITAN.

To jej opiekun a raczej ojciec; kocha ją, dogadza najniżejszemu zachceniu....

JERZY.

Gdzież i u kogo mieszka?

KAPITAN.

U siebie, w własnym majątku.

JERZY.

Więc to już nie młoda osoba?

KAPITAN.

Owszem bardzo młoda i nadpodziw piękna.

JERZY.

Młoda i piękna, sama mieszka, trudno jedno z drugim pogodzić.

KAPITAN.

Rozumiem pana doskonale. Rzeczywiście, nieznającemu jój daje wiele do myślenia podobne postępowanie. Nazwano ją też w okolicy, dziwaczką, filozofem w spódnicy, tak nie jest w istocie, dużo fantazyi, lecz więcej serea. W domu jój znajdziesz pan wszystko, czego człowiek lepij wychowany wymaga.

JERZY, *powstając.*

Ależ kochany kapitanie to wasze Polesie mieści w sobie skarby zakłete, dla obejrzenia których potrzeba przebyć siedm rzek i gór, a bagnisk... bez liczby.

*(słychać tentent i trzaskanie z bicia.)*KAPITAN, *idąc do okna.*

Otóż i oni... patrz pan, Irena na koniu, co piękna?

JERZY, *patrząc przez okno.*

Oh! piękna!

KAPITAN.

Pierwszy krok a śmiały stanowi o zwycięstwie. Więc odważnie.

JERZY, *zimno.*

Nie rozumiem pana.

KAPITAN.

Mam nadzieję, że sam mnie pan niedługo zwołniesz od wyjaśnień.

SCENA V.

IRENA, GRABA, JERZY, KAPITAN, KONIUSZY.

KAPITAN, *idąc naprzeciw nadchodzącym.*

Nie wiem doprawdy co robić, czy się cieszyć z przybycia tak miłych osób, lub żałować straconej sposobności dłuższej pogawędki, z kochanym wnukiem Koniuszego.

IRENA.

Nie bądź egoistą kapitanie. spotkaniami przyjemnościami dzielić się wypada.

KONIUSZY, *do Jerzego.*

Kpią z ciebie oboje. kapitan fałszywy, Irena dziwaczka.

JERZY.

Pięknościami wszystko uchodzi.

KONIUSZY.

Masz go Warszawiaka, pięknościami! musi być już wpadła w oko!

*(Kapitan rozmawia z Grabą.)*IRENA, *zbliżając się do Koniuszego.*

A mnie panowie nie przypuszczają do rozmowy? może o gospodarstwie lub polowaniu, znam się na tém...

JERZY.

Nie pani, mówiliśmy o procesie Koniuszego, który będę popierał w Warszawie.

*(Koniuszy i Jerzy wyprzedzają się chcąc podać krzesło Irenie.)*IRENA, *siadając na krześle Jerzego.*

Dziękuję... czy Koniuszy zna prawo?

KONIUSZY, *śmiejąc się.*

Cóż to! proces ci wytoczono?

IRENA.

Tak jest, mam sprawę potrzebującą pilnego załatwienia.

JERZY.

Pozwól mi pani być swoim adwokatem.

IRENA.

Będiesz pan wykonawcą wyroku, panie Koniuszy proszę bliżej. (*Koniuszy siada między nią i Jerzym.*) Czegoś tak dawno nie był w Rumianej?

KONIUSZY.

Miałem gościa, polowanie...

IRENA.

Gdyby nie kapitan, ja pragnąca towarzystwa ludzi, nie wiedziałabym wcale o gościu, i to z Warszawy, do której (*do Jerzego.*) przebac pan otwartość parafianską, wcale nie tęsknię. (*ciszéj do Koniuszego.*) Zakazany owoc najwięcej budzi chęci, przedstaw mi go.

KONIUSZY, *z niechęcią.*

Mój wnuk, Jerzy Brożek.

KAPITAN, *podchodząc.*

(*prędko.*) Bardzo ukształcony młody człowiek.

KONIUSZY, *do Ireny i Graby.*

Przeszastał cały majątek, teraz rezydencyi szuka.

GRABA.

Jeżeli został charakter, strata do powetowania.

IRENA, *do Koniuszego.*

Nie wierzę.

KONIUSZY, *ze złością.*

Już i niewierzy, musi być posądzasz o łgarstwo twego opiekuna?...

IRENA, *głośno.*

Ja zaś kobiéta, któraby nawet w stolicy gorszyła wszystkie mamy i ciocie: sama gospodaruję, strzelam z pistoletu, jeżdżę na koniu, znam się na chorobach, a za to wszystko stary Koniuszy kocha mnie jak rodzoną córkę. Czy prawdę mówię?

KONIUSZY, *ściskając jej rękę.*

Oj! prawda ładna dziwaczko.

IRENA.

Na mocy więc tego uczucia, biorę na siebie obowiązek bawienia gości. Kapitan z Koniuszym pójdą grać w szachy, panu Jerzemu zaś który z nami zostanie, rekomenduję pana Grabę, najdroższego mi przyjaciela, takich ludzi nie znajdziesz pan w Warszawie, (*Graba z Jerzym ściskają się za ręce.*) radzę wejść w bliższe stosunki. (*Koniuszy niecierpliwi się.*)

JERZY, *do Graby.*

Jeśli pan pozwoli...

GRABA.

I jeżeli się pan nie zleknieś niepoprawnego oryginała, jak mnie powszechnie nazywają.

JERZY.

Zwykły los ludzi idących za głosem prawdy i obowiązku.

KAPITAN.

Jaki rozum!...

GRABA.

Powiedz że nam pan co o Warszawie.

KONIUSZY, *z przekąsem.*

O balcie, restauracjach, zabawach...

IRENA.

Tego nie żądamy; o ludziach, książkach, teatrze, zakładach...

KONIUSZY, *przerywając półgłosem.*

Gastronomicznych, które zna doskonale.

IRENA, *do Koniuszego.*

Jeżeli będziesz przeszkadzał, wyjadę bez pożegnania i nie wrócę więcej.

KONIUSZY, *j. w. z prośbą.*

Dziewczyno co robisz!... pustak, hulaka, a wygadany jak przepiórka, w głowie ci zawróci jeszcze...

KAPITAN, *do Koniuszego.*

Koniuszy dobrodziej, myśmy tu niepotrzebni, starym trudno się zgodzić z postępową trójką, ot pójdziem na fajeczkę i partyjkę szachów!

KONIUSZY, *z niechęcią.*

Zaraz! *(do Ireny.)* Strzeż się moja droga!

IRENA.

Dobrze już dobrze. *(do kapitana.)* Kapitanie zabieraj Koniuszego, pozwalam.

GRABA, *wstając.*

Ale ja zezwolić nie mogę, przyjechałem tu głównie w celu porozumienia się o nadchodzących wyborach.

KONIUSZY.

Utrzymać dawnego Marszałka i wybory skończone.

GRABA.

Nie można, to człowiek poczciwy, ale bez woli i charakteru, sekretarz robi wszystko za niego. Marszałek powinien być głową powiatu, przedstawicielem obywatelstwa. To

nie czyzy tytuł. nie uprzywilejowany podpis na łada papierze; dom jego nie oberża, gdzie można jeść i pić bez zapłaty...

IRENA.

Dajcie głos kobiecie, dobrze wam poradę.

KONIUSZY, *z uśmiechem.*

Co! może ciebie zrobić Marszałkiem.

IRENA.

Nigdy nie żądam rzeczy niepodobnych, poprowadźcie pana Grabę.

KAPITAN. *n. s.*

Zagłodzi cały powiat.

KONIUSZY, *n. s.*

Będzie prawil kazania.

GRABA.

Nie trudźcie się daremnie, jednej galki nie pozyskam.
(*z westchnieniem.*) Wicie jak mnie nie lubią.

KONIUSZY.

Przy obiedzie raźnij o tém pomówimy.

KAPITAN.

Jak to pilno kochanemu Koniuszemu do szachownicy, chodźmyż już chodźmy.

(*Idą do pobocznego pokoju, kapitan schylony, Koniuszy we drzwiach się odwraca i składa błagalnie ręce w stronę Ireny.*)

SCENA VI.

IRENA, JERZY, GRABA.

długie milczenie.

GRABA.

Pan dawno z Warszawy?

JERZY.

Dwa miesiące blisko.

IRENA.

I nie tęskno do gwaru i bruku.

JERZY.

Tęskno?... nie pani, z czasów szkolnych zapamiętałem jedno łacińskie przysłowie: „przyzwyczajenie jest drugą naturą.“ Ja w mieście wychowany, nie zostawiwszy tam żadnych wspomnień, najswobodniejszym się jednak czuję w ciasnych ulicach Warszawy, nie pojmuję jeszcze życia bez teatru, strojów, śpiewu, gwaru i bruku jak pani powiadasz, a dwa miesiące przebyte na wsi, nie pozwoliły mi pobratać się z przyrodą aż do ukochania jęj zielonęj sukienki. Miasto uważam niiby mieszkanie nie wykwinne lecz dające przekonanie i zadowolenie własności.

GRABA.

Zostań pan dłużej z nami, a zyskasz na rozbudzeniu uczucia, pojęciu i umiłowaniu człowieka, na czystych pragnieniach, które w mieście z natury swęj muszą być często fałszywe i sztuczne.

JERZY, *poniieszany*.

Nie mogę.

IRENA.

Czy byś pan to szerokie, potężne niebios sklepienie poświęcał ciasnemu i zakopconemu horyzontowi miejskiemu, przeniósł naśladowanie nad prawdę, albo tak już sprzykrzył życie, że dla nadania mu barwy, potrzebujesz brać kolory powstałe z dziwnęj zlego mięszaniny?

JERZY.

Za ostrą pani jesteś w sądach nie o mnie, na laskawsze nie zasłużyłem, lecz o mieście, ludzie wszędzie jednakowi, a czy gościniec szeroki lub wązki, domy murowane lub drewniane, toć nie miejsce im lecz oni miejscu nadają koloryt. Miasto w końcu karmi wieś umysłowo, kiedy wieś żołądkowe tylko pragnienia zaspokaja.

IRENA.

Ostrożnie, to paradoks. Pomyśl pan kiedy i z jakich pobudek powstały grody?... gdy człowiek niedość uszanował przykazania Boże, kiedy mu za szczupłym zdawał się wydzielony kawałek ziemi, zagrałił cudzą własność, a w skutek tego dała się czuć potrzeba władzy ludzkiej, bojaźni kary! Dzisiejszy wzrost miasta nazywają rozwojem przemysłu, postępek cywilizacji, przemysł ten jednak czerpie według mnie siłę w moralnym upadku ludzkości. której nie dosyć kwiatów łąk naszych, nieba jasnego, siermniegi prostaczęj lub śpiewu ptasząt!... (*siada.*)

GRABA.

Pani, to trąci barbaryzmem, tęsknotą za błogiem i czasami pasterskiemi a przecież.....

IRENA, *przerwywając.*

Wiem co pan chcesz powiedzieć, owszem kształcić się ciągle, to obowiązek, to modlitwa Bogu najmiłsza, ale niechże ta praca nie robi z nas egoistów, nie odbiera uczucia, niech wyższe cele wskazuje, wznioślejsze nad osobiste zadowolenie pokaże!....

GRABA.

A wniosek z całej rozmowy?

IRENA.

Ze tylko na wsi żyć i pożytecznym być można.

JERZY.

Mieszkający wsi jednak nie stoją tak wysoko żebyśmy ich mogli nazwać ideałami.

IRENA.

Więc nie wierzysz pan w poprawę?

JERZY.

Wierzę, chcę, muszę wierzyć na koniec. (*smutnie*.) Lecz kto sam czuje upadek, potrzebę poprawy, ten...

GRABA, *przerywając i ściskając Jerzemu rękę.*

Ten samém uznaniem podniósł się już bardzo, a przykładem pocziwie służy.

JERZY, *zapominając się.*

O dziękuję wam, dziękuję serdecznie.

IRENA, *n. s.*

Więcej się niebo ciesz z jednego nawróconego. niż z dziewięćdziesiąt dziewięciu sprawiedliwych.

GRABA.

Długo pan jeszcze zabawi?

JERZY.

Kilka dni zaledwie.

IRENA.

Nie puścimy tak prędko, musisz pan być u mnie, odwiedzić pana Grabę, obejrzeć jego zakłady, a już to obowiązkiem człowieka wywiadywać się o dobrém, żeby mniéć złemu zaradzić.

JERZY.

Chciałbym, lecz pięć dni zapewne na to wszystko nie wystarczy.

(*Irena i Graba poglądają na siebie zdziwieni.*)

IRENA.

Jak to, pięć dni?

JERZY. *z westchnieniem.*

Dłużej zabawić nie mogę, a prozbą nie zmuszaj mnie pani do odmowy.

GRABA.

Czy tylko ta jedna zawada stoi chęciom na przeszkodzie?

JERZY.

Ta tylko.

IRENA.

Spodziewam się że ją usunąć potrafimy

JERZY.

Niepodobna. (*d. s.*) Teraz pojmuję postępowanie Koniuszego.

KAPITAN, *za sceną.*

To mi się cug nazywa, tęgiego mata dałem Koniuszemu.

SCENA VII.

*Ciż, KONIUSZY, KAPITAN.*KONIUSZY, *wchodząc.*

Musi być drugą razą oddam ci lepszego.

KAPITAN.

Koniuszy dobrodzieju, zróbże mi tę łaskę po obiadku zasiadziem.

IRENA.

Więc kapitan zwyciężył?

KONIUSZY.

Jak zwykle.

KAPITAN.

Pan dobrodziej żartuje. (*d. s.*) Poczekaj nie takie odniosę zwycięstwo!

IRENA, *do Koniuszego.*

Broń mnie opiekunie, pokrzywdzono mnie w twoim domu.

KONIUSZY.

Mów bo prawdę Ireno, gniewałbym się bardzo.

IRENA.

I to wnuk Koniuszego.

KONIUSZY, *do niej.*

Co! nie mówiłem? on do tego skory. (*głośno.*) Cóż zrobił, pewno figiel jaki?

IRENA.

Gdzież tam figiel, sprzeciwia mi się, odmawia wizyty, mówi że za dni pięć wyjeżdża.

KONIUSZY, *niespokojnie.*

To trudno, dał słowo, prosz, może go odmieni. (*półgło-
sem.*) Ani chybi, zdurzy dziewczynę.

GRABA.

Zapewne pilne sprawy wzywają?

KONIUSZY.

O i bardzo pilne.

IRENA, *patrząc uważnie na Jerzego i Ko-
(niuszego.*

Więc dał słowo?

KONIUSZY.

Zaklął się. prosiłem, nie; taki z Turzój Góry wyjechać muszę.

JERZY, *do Ireny.*

Nie trudź się pani darcumnie.

KAPITAN.

To rzecz dziwna, chcesz pan wyjechać w tym dniu, w którym panna Irena miała odwiedzić Koniuszego.

IRENA, *odpowiadając Jerzemu.*

Nie znasz mnie pan, nie lubię z placu ustępować.

KONIUSZY, *n. s.*

Ten swoje trzy grosze wszędzie wścibić musi.

GRABA.

Słowa dotrzymać się godzi, przyrzekłeś pan wyjechać z Turzój Góry lecz nie z Zawiszyna; zabiorę więc pana z sobą, i nie puszczę aż po wyborach.

KAPITAN.

Kochany panie Grabo, niech że cię uściskam, (*całując go*) i mądrze i honorowo.

JERZY.

To wykręt prawny.

IRENA.

Rozłożym winę na troje, łatwiej będzie odpokutować.

KAPITAN, *do Koniuszego szarpiącego ręką*
(sy ze złości).

Kochany nasz Koniuszy, aż poczerwieniał z radości, słyszałem jak prosił Jerzego, ten szanując słowo pozostać nie mógł, zwyczajnie krew Brożków, szlachta od Adama!

Koniec Aktu pierwszego.

A K T II.

Na balu. Pokój w którym drzwi dwoje, z tych jedne prowadzą do salonu, ztamtąd od czasu do czasu słyhać muzykę; drugie do bufetu gdzie widać przechadzających się gości

SCENA I.

KONIUSZY, JERZY.

obadwaj wychodzą z salonu.

JERZY, *siadając zagniewany.*

Nie pojmuję co pana zniiewala skazywać innie na te piekiclue męki.

KONIUSZY.

Jurku napij się wody, kobiéta młoda i niczego, fortunka milionowa, musi być spodobałeś się bardzo, kiedy tylko z tobą jednym gada.

JERZY.

A cóż mnie to obchodzi, czy bogata lub biedna albo brzydka, niech się stara kto chce, byle mnie dała święty pokój.

KONIUSZY.

Hrabianka z domu.

JERZY.

A choćby księżniczka!

KONIUSZY.

Piękna.

JERZY.

Najmniejsza zaleta i żadna zashga.

KONIUSZY, *n. s.*Jest rozum, jest! (*głosno.*) Dobra i łagodna!

JERZY.

Dla tego poszła do rozwodu.

KONIUSZY.

Właśnie przez łagodność, Graba nie umiał jęj ocenić

JERZY.

Panie Koniuszy, zaprzeczasz własnym słowom; coś mówił o nięj wczoraj?

KONIUSZY.

Musi być byłem na czczo, nie wierz temu, młoda.

JERZY.

No, nie tak zbytęcznie, piękność Balzakowa, syn ma już dwudziestkę.

KONIUSZY.

W szesnastym wyszła za mąż.

JERZY.

Mogła się zatrzymać.

KONIUSZY.

A ty to już nigdy się nie zestarzejesz, ja ci powiadam szczerze i radzę sumiennie, bierz ją, a zrobisz karierę...

JERZY.

Ani myślę.

KONIUSZY, *n. s.*Tęgi bo tęgi. (*głosno.*) Ta kobięta uszczęśliwi każdego mężczyznę.

JERZY.

To się pan z mią ożeń.

KONIUSZY, *splunując*:

Tfu na marę! oszalał czy co? ja się żenić, musi być kpisz z dziada, czy o drogę pytasz.

JERZY, *poważnie*.

Jeżeli obrazil, to szczerze przepraszam i żałuję, ale do dziś nie mogę pojąć, co znaczą te swaty, przygryzki, wyprawiania?... Przykrości panu żadniej nie zrobiłem, a na szyderstwo i pogardę także nie zasługuję; podobnym postępowaniem, przyprowadzasz mnie Koniuszy do ostateczności, siejesz między nami ciągłą niezgodę, która sędzę, zarówno obydwom niłą być nie może.

KONIUSZY, *n. s.*

Jest charakter ale w głowie pstro. (*głośno*.) No kiedyś taki butny, powiedz mi szczerze, po coś tu przyszedł?

JERZY.

Po to co i Koniuszy, bawić się.

KONIUSZY, *prędko z gniewem*.

Gadaj zdrów, nie okpisz starego, ot ja ci powiem poco, Irena się spodobała, bo nie brzydka i ma pieniądze, kapitan andronów nagałał żeby mnie dokuczyć, ale nie z tego paniczu, śrótem nie ubijesz losia, nie na tom chuchał pielegnował, żeby ją oddać w ręce pierwszego lepszego nicpotém, na resztki kawalerskiego życia. Musi być prawdęm wyrzekł, boś niby dzik minę nasrożył.

JERZY, *wstając*.

Dość już panie, jakakolwiek była moja przeszłość i błędy, których nie ręcze czy i Koniuszy w młodości nie popełniał,

zostało mi jeszcze tyle godności, że ani sprzedawać się ani słuchać niesprawiedliwych obelg nie zdołam.

KONIUSZY, *n. s.*

Jest krew, jest! statku za trzy grosze. (*głośno siląc się na uśmiech.*) To cóż, wyzwiesz na pojedynek?

JERZY.

Koniuszy wszystko w żart obraca, żartuj więc ile się panu podoba, odemnie nie usłyszysz odpowiedzi. (*kłaniając się.*) Do widzenia!

(*idzie do drzwi, w tem spotyka Irenę.*)

SCENA II.

Ciż i IRENA, z ironią.

A pan Jerzy, trzeba korzystać z przypadku, żeby znieść z nim słów kilka, przychodzę niby głośny tłumacz niemych uwielbień wszystkich dam, a szczególnie pani Grabowej, (*targając chusteczkę.*) zachwycone są panem. Wrażenie ogólne. Akcent paryzki i wprawa zdobyta na Warszawskich salonach, dają mu prawo do tego.

JERZY, *d. s. stojąc w jednej pozycji.*

I ona!... tego już za wiele!...

KONIUSZY, *n. s.*

Już i zazdrość, to źle. (*głośno.*) Jerzy jest dzisiaj w swoim żywiole, zalecał się właśnie Grabowej, interesik niezły, fortunka dobra, daj ci Boże!

JERZY, *spokojnie lecz dobitnie.*

Pan Koniuszy się myli, a panią mogę upewnić, że się o żadne wrażenia nie starałem.

IRENA, *j. w.*

Któż o staranie posadza, zwycięstwo dorażne, podbicie jednym spojrzeniem, to są przymioty którym należą cześć składać.

JERZY.

Powtarzam raz jeszcze, o żadne wrażenia się nie starałem, ale pani silisz się na złośliwość, która jęj mniej niż komu innemu przystoi.

IRENA, *j. w.*

Przypomnij że pan sobie gdzie się znajdujesz, i nie bierz parafianiskiej otwartości za wyrafinowany dowcip warszawski; rzeczywiście balowy ogół dam...

JERZY, *przerzuwając.*

Przepraszam panią, że śniem przerywać, ale jestem zmuszony zakończyć tę przykrą dla nas rozmowę, przypomnieniem, że do balowego ogółu dam i pani należysz.

(kłania się i odchodzi, Koniuszy i Irena stoją pomieszani.)

SCENA III.

KONIUSZY, IRENA.

IRENA. *siadając.*

(półgłosem.) Oh! miał słuszność, poniżyłam się staraniem o złośliwość.

KONIUSZY. *troskliwie.*

Ireno, tyś zbladła, co ci ten wietrznik powiedział?

IRENA.

Nic, nic, prawdę gorzką, za którą nawet gniewać się nie można.

KONIUSZY, *trzymając się za głowę.*

Licho mi go tu z Warszawy nasłalo: nocy nie dośpij-w dzień się gryż... a!.. a!..

IRENA, *półgłosem.*

Ale to niepodobna, dwa tygodnie słów nie wiele...

KONIUSZY.

Co? co? mów głośniej, wiesz że niedosłyszę.

IRENA, *j. w.*

Lecz co dzień dzisiejszy znaczy całe jego postępowanie?
(*z większym żalem.*) Grabowa...

KONIUSZY.

Co ta gada! Ireno! zlituj się, głośniej, wiesz że niedosłyszę!

IRENA, *budząc się z zamyślenia.*

To patrz uważniej.

KONIUSZY.

A kto was dopatrzy, lisa wyprowadzicie w pole!

IRENA.

Trzeba się radzić serca, nie rozumu

KONIUSZY.

Serce zawsze głupstwo zrobi.

IRENA

Oj prawda!

KONIUSZY.

A widzisz, zgadzasz się ze mną zupełnie

IRENA.

Lecz rozum tylko korzyści oblicza, więc wolę głupstwo sercowe, niż zimną mądrość niemiecką.

KONIUSZY.

Widzę ja do czego to wszystko zmierza, musi być pan Jerzy nie próżnował w Rumianów?

IRENA, *z westchnieniem.*

O! nie próżnował.

KONTUSZY.

A ja nieszczęśliwy!... Cóż robił?

IRENA.

Kto Jerzy?... (*przytomniej.*) grał, śpiewał, narysował mi plan altanki, ogrodu...

SCENA IV.

Ciż, KAPITAN.

KAPITAN. *wchodząc.*

A państwo spoczywają. Koniuszy dobrodziej zawsze czuwa nad swą pupilką, niby kwoczek nad drobnym kurczęciem, nicoszacowany opiekun, choć czasem źle robi przez dobre serce.

KONTUSZY, *i. s.*

Musi być znów dogryzie!

IRENA.

Jak to?

KAPITAN.

Nie inaczej, pan Jerzy nadszarpnął porządnie fortunki, Koniuszy wiedział o tém dobrze, uniewinnil go jednak w swém przekonaniu; młodeńcu bardzo łatwo popaść w złe towarzystwo, a kiedy wleżesz między wrony, to tak krakaj jak i one, przyjął go więc jak ten ojciec marnotrawnego syna, lecz Jerzy ambitny, zwyczajnie jak każdy Brożek, poczciwość to tradycyjna, darowizny nie wziął.

IRENA, *z źle ukrytą radością.*

Pan Jerzy nic nie przyjął?

KAPITAN.

Ani szeląga!

IRENA.

To pięknie!

KONIUSZY, *zniecierpliwiony.*

Et! nie wiem co tam widzisz pięknego.

KAPITAN.

Już powiedz co chcesz kochany panie, ale pięknie; serce Koniuszego dobrodzieja znam od dawna, cierpi, gdy wspomódz nie może, wziął się więc na sposób, chce go ożenić bogato, a nie tracąc sposobności, od dziś rozpoczął swaty.

IRENA, *patrzac na Koniuszego.*

Pan Koniuszy go swata, i z kimże?

KAPITAN.

Zgadnąć nie trudno. z Grabową.

KONIUSZY, *niecierpliwie.*

Et! pleciesz duby smalone, kto go swata? cóż to? niby cygan niedźwiedzia przywiązałem go do krzesła pięknej pani: usługuje, tańczy, nikt go nie zmusza.

KAPITAN.

Nie zmusza? Koniuszy zaprezentował. pani się uczepiła, jak chiniel plotu, biedaczysko poci się, a tańczyć musi, ziewa a grzeczność zostać rozkazuje.

IRENA, *z wyrzutem.*

Panie Koniuszy, dla czegoś narażasz go na ciągłe przykrości?

KONIUSZY, *zły.*

Et! lichy was zrozumie, czego chcecie, zarznięcie lepiej starego tępym nożem, musi być więcej masz rozumu odemnie

(wychodzi przeliko.

KAPITAN, *spiesząc za nim.*

Spieszę za Koniuszym dobrodziejem, starym przyjaciółtom najlepij z sobą.

(wychodzi.)

IRENA, *sama.*

Biędny stary. grzeszy zbytnią miłością. Chciałby go gwałtem odsunąć odemnie, znaleźć mi jeszcze niebyły na ziemi ideał, kolos niezachwianej na chwilę cnoty! Jami skromniejsza w pragnieniach, trochę więcej energii, mniej konwencjonalnej grzeczności, to wszystko czego mu braknie, a co nabyć z łatwością mu przyjdzie!... Te kilka rozmów z Grabą, widzeń się ze mną, bardzo nań wpłynęły. Nieśmiałość w obejściu, pochlebia, — odwagi, kobieta żyje sercem tylko, ja serca usłucham, śmiało więc, nadzieja w Bogu!..... i *(widząc wchodzącego Grabę.)* w pocziwym przyjacielu Grabie.

SCENA V

IRENA, GRABA.

GRABA, *siadając koło niej, smutno.*

Zdaje się żeś słyszał wymówione moje nazwisko?

IRENA.

Prawda, czekałam na pana, przychodzisz jak wykonanie myśli, jak instynkt serca, i witam cię panie z radością, boś bardzo potrzebny sierocie.

GRABA.

Sierocie?... nie pani... nikt się tak nazwać nie może każdy z nas jest członkiem wielkiego rodzeństwa, którego ojcem Bóg, a ogniwami sprzęgającymi z niebem, czyni pełne nakazanej przez niego miłości.

IRENA.

Lecz sercu człowieka dozwolono pewnych uczuć, pragnień sprawiających mu radość, zachęcających do życia, do umiłowania wszystkiego co piękne i dobre...

GRABA, *smutniej.*

Mówisz pani o miłości.

IRENA, *twarz kryje w chusteczkę.*

Tak jest, panie.

GRABA.

O gdyby można kochać i niepożądać, raz zobaczyć i niepragnąć widzieć więcej, lecz to niepodobna, taki człowiek byłby aniołem.

IRENA.

A na jednego anioła, dwóch dusz ziemskich trzeba!... (*)

GRABA, *po chwili.*

Przebacz mi pani, jam wątpił, oh! bo strasznym szatanem co w nas ciągle gości, jest doświadczenie! (*spokojniej.*) Czegóż pani żądasz?

IRENA.

Będzie dość czasu jeszcze, ale co znaczy niespokojność pańska?

GRABA.

Co znaczy?... posłuchaj dziś całej powieści, której ustępów w zmarszczkach czoła mego, w długich zadumach, już się dopytałaś. Tu nie ma nikogo. (*wskazując na drzwi sali.*) Tam śmiechy, wesołość, to co im do smutku. (*wskazując na drzwi bufetowe.*) A tu bachanalia, lancknechtowe wrażenia, co im do rozpaczyl. Syn w domu nie będzie wiedział, że mi zabrakło mocy na tę chwilę, syn nie powinien wiedzieć że ona winna, kocha ją, któżby nie kochał? niech myśli że ojciec dziwak, zły, wszystkiemu przyczyną!...

(*) J. S.

IRENA.

Panie uspokój się.

GRABA.

Nie zna spokoju serce, co ukochało cnotę i występłą kocha.

IRENA.

Ona niegodna takiéj boleści.

GRABA.

Cicho!... nie powtarzaj mi tego nigdy. (*biorąc ją za rękę i stojąc naprzeciw drzwi prowadzących do salonu.*) Patrz... widzisz ją... widzisz... tam w tłumie... jedną piękną, pomiedzy tyloma za pięknoście uchodzącemi!...

IRENA.

Widzę.

GRABA.

Jam ją kochał mego anioła, Teresę moją wprowadził do domu i pyszny, dumny miłością, powiedziałem: „jam z nią, więc wszystko ze mną...” Bóg ukarał, tak kochać nie wolno, ale Bóg dobry, upadek cierpieniem, poczuciem obowiązku zmazać dozwala... Oh! bo ciężkiem, ciężkiem życie dla tego co nie ukochał siebie aż do odrzucenia miłości własnej, aż do przekonania, że człowiek jest ideałem stworzenia!...

(zamyśla się.)

IRENA.

I takich chęci ludzie nie ceniał

GRABA, *niestysząc.*

A kiedy dziecię, Jaś zakwiliło, Boże! myślałem że oszałeję z radości, cieszyła się ze mną pocziwa gromadka, miłość na żonę, dziecko i lud, przelałem. A ona?... ty pierwsza całą skargę słyszysz: ulekkła się pracy, zbrzydziła wioskę,

odwracała od chłopstwa; prosiłem, nie mogąc na zbytki, wystepek, zły przykład zezwoić, i czołgającego się u nóg jój odepchnęła, porzuciła biédnego rycerza obowiązku chrześcijańskiego z miłością, pobięła bez żału, trwonić, zachwycać, używać!... kiedy mnie spotka, przyzwie na usta uśmiech szyderstwa, pogardy, o! to okropnie! bo już upadła, nie nie kocha, nie tęskni do własnego dziecka.

(zakrywa oczy.)

IRENA.

Nieszczęśliwy!...

GRABA.

Dziś to życie pełne wyrzutów sumienia, nie wystarcza jój, szuka sztucznych wrażeń, niemi zapełnia próżnię uczucia. *(wskazując do salonu.)* Widzisz ją, widzisz zawsze piękną, czarującą, trzymającą rękę Jerzego!

IRENA, *wzruszona.*

Widzę.

GRABA.

Tym wzrokiem, co niebo obiecuje, przykuła mnie kiedyś na wieki, a on stoi zimny, znudzony, grzeczny tylko.

IRENA, *oddychając.*

Prawda!

GRABA.

I Bóg ją karze tą oziębłością wszędzie spotykaną, kłamstwem nikt prawdy nie wywoła, a ona kłamie uczuciel! O! Teresso... Teresso... *(pada z wysileniem; po chwili.)* Ludzie widząc mnie nieustającego w pracy, mówiącego im o ofierze: kamieniem, dziwakiem przezwali. Czy uwierzysz, że ta miłość pań, pożera, że po dwudziestu latach z jednakiem

uwielbieniem szukam jęj spojrzenia, a cierpię, o! co ja cierpię!..

(długie milczenie, w drzwiach bufetowych widać przechadzających się a między niemi żywo rozmawiającego kapitana.)

GRABA, *wstając.*

Już na długo schowałem boleść do serca, nie wspominaj o nięj, teraz mogę słuchać czego pani żądasz?

IRENA.

Rady.

GRABA.

Jakięj?

IRENA, *ciszęj.*

Kocham. *(zakrywa oczy.)*

GRABA.

Nie trudno było mi się domyśleć kogo, dońry wybór zrobiłaś. Jerzy dziś dzielący się na dwie połowy: dawnego pełnego czczości i czującego potrzebę pracy człowieka, jeśli raz jeszcze zabołuje, pozna całą okropność upadku, będzie go-dnym pani.

IRENA.

Koniuszy ciągle przeszkadza.

GRABA.

Nie wolno nikomu być zawadą do szczęścia bliźniego. myślałem już o tém, więc cierpliwości kochana pani, wszystko będzie dobrze.

IRENA, *chcąc pocałować jego rękę.*

O dzięki ci pocziwy przyjacielu!

GRABA, *cofając rękę.*

Wracaj pani do salonu, oderwij go od nięj. ja tu muszę o wyborach pomówić.

SCENA V.

IRENA.

Do widzenia! Wracam szczęśliwa. przed chwilą tak mi tam smutno było, żem tylko samotności pragnęła. (*odchodzi.*)

GRABA, *sam.*

Prędko, prędko zapominamy o cierpieniu, troska bliźniego chwilowe tylko na nas robi wrażenie, które lada podmuch szczęścia zaciera!

SCENA VI.

GRABA, KAPITAN.

KAPITAN.

Szukałem cię właśnie kochany sąsiedzie, rada twoja i pomoc koniecznie mi potrzebne w interesie wyborów nowego marszałka; chcielibyśmy wybrać obywatela wedle zasad najczystszej szlachetności i określenia pańskiego, w części udało się nam....

GRABA.

Jeżeli tylko kandydat zasługuje na poparcie, wszystkich starań dołożę....

KAPITAN.

O zasługuje, znasz go pan doskonale.

GRABA.

Nazwisko?

KAPITAN.

Koniuszy. (*Graba spogląda niedowierzająco na kapitana.*) Człowiek zacny, sieroty nie pokrzywdzi, szlachtę godnie zaprezentować może.

GRABA.

Zgadzam się z panem najzupełniej, ale dwa nasze głosy nie wystarczą.

KAPITAN.

O jest ich więcej, szło nam tylko o aprobatę pańską, bez której nasze zamiary spełzłyby na niczem.

GRABA.

To dopiero połowa trudności; słusznie mogę się obawiać czy się zgodzi.

KAPITAN.

A to dobre! śmiałyby stawiać czoło całemu powiatowi, sprzeciwiać się woli zacnego obywatelstwa?

GRABA.

To i zgoda. (z *westchnieniem*.) Lepszego między sobą nie znajdziem; starajmyż się o głosy. (*wychodzi*.)

KAPITAN, *zostając*.

No panie Koniuszy, milczałem długo, teraz pogramy. zobaczym przy kim zwycięstwo! (*odchodzi*.)

SCENA VII.

JERZY, *później* KONIUSZY i GOŚCIE.JERZY, *siadając w fotelu i obcierając się chustką*.

A.... a.... ledwo oddycham, biegaj po wodę, sole: cuć, ra-tuj, tańcz, trzymaj wachlarz i na chwilę nie schodź ze służby, to na jednego za wiele; grzeczności, grzeczności! czy nie szatana ty córa!? Salony, lansiery, czyście wy nie męką dla zakochanych? raczej zakochanego, bo w liczbie mnogięj mówić mi nie wolno. (*zamyśla się, po chwili*.) Nie, nie wró-cę już do sali, to nie do wytrzymania. Pani Grabowa z prawdziwą przyjemnością setny już raz jednego wieczoru opowiada mi historję urojonych nieszczęść, stanowi linią demarkacyjną, dzielącą mnie od Ireny, która widocznie za-gniewana, a na domiar wszystkiego, co mnie o rozpacz

przyprawia, Graba, ten najzacniejszy człowiek, gotów pomyśleć, że się staram o względy kobiety, którą kocha, która go niegodnie porzuciła. (*po chwili.*) Ktoby się spodziewał, że stary Koniuszy będzie tak zręcznym dyplomata?... (*patrząc w drzwi bufetowe.*) Ale otóż i on. muszę mu podziękować.

KONIUSZY, *do obywateli którzy z nim razem weszli.*

Nieprawda panowie, mój wnuk was kocha. (*sposstrzegając Jerzego.*) A jesteś panie Jerzy? bróńże się sam.

JERZY.

Jeśli zawinił....

KONIUSZY.

Ci panowie posadzają cię o arystokracją.

JERZY, *zdziwiony.*

Mnie?

GOŚĆ 1.

Tak, gardzisz pan nani.

GOŚĆ 2.

Odbijasz panny w tańcu.

GOŚĆ 3.

Fanfaronujesz francuzczyzną.

JERZY.

Anim myślał lub chciał obrazić.

WSZYSCY.

Nie wierzymy, nie wierzymy.

JERZY, *groźnie.*

Więc czegoż chcecie odemnie?

KONIUSZY, *ciszéj.*

Nazwali cię wymoczkim warszawskim.

JERZY.

Tego już za wiele.... Jeśli wam o to idzie moi panowie, to się spróbuję: ja wymoczek warszawski wyzywam was wszystkich. Proszę za mną!

KONIUSZY.

A co, nie mówiłem! chwat!... (*do szlachty.*) Przepróścież go, macie już dostateczną satysfakcją. (*ciszéj.*) Weźcie go na butelki, zobaczym kto poradzi?

WSZYSCY.

Zgodą! zgodą!.. p. Jerzy nasz brat. (*do bufetu.*) Wina!

JERZY, *do Koniuszego.*

Pić nie będę.

KONIUSZY.

Musisz; mnie i ich na nowo obrazisz. (*wszyscy biorą do ręki kieliszki.*) Zdrowie mego wnuka i gościa w poleskich stronach, niech wie jak krew szlachecką szanujem!

WSZYSCY.

Wiwat! (*piją.*)

KONIUSZY.

Jurku, na podziękowanie krop winko wytrawne, musi być głowę masz nie złą.

JERZY, *podnosząc kielich.*

Dziękując za gościnne przyjęcie, piję w imieniu całej warszawskiej młodzieży.

WSZYSCY.

Niech żyją Warszawiacy! Oto zuch, wiwat! (*piją.*)

GOŚĆ 1.

Zdrowie koniuszego, pierwszego myśliwca! (*piją.*)

KONIUSZY, *ściskając ich.*

Bóg zapłać za dobre serce, pokażmyż Warszawiakowi co umiemy. (*pije.*) Całego Polesia!

WSZYSCY.

Oto!.... to!.... (*piją.*)JERZY, *stawiając kieliszek.*

Panie Koniuszy nie namawiaj, muszę jeszcze Irenę odprowadzić.

KONIUSZY, *n. s.*

Irenę! dam ja ci ją. (*głośno.*) Głupstwo Jurku, wszystkiemu dasz rady.

OBYWATEL 1.

Pełna butelka ze stołu nie schodzi, tu jeszcze po jednym, przy kolacji resztę. (*do bufetu.*) Nakrywaj do stołu!.... No panowie kochajmy się!....

WSZYSCY, *całując się wzajemnie.*Kochajmy się! (*piją.*)

KONIUSZY.

A teraz do stołu! (*do słuchącego po cichu.*) Mocnego wina.

JERZY.

Ja panom, choćbym rad z duszy, służyć nie mogę.

KONIUSZY, *do gości.*

Nie puszczajcie, wyłącza się!

WSZYSCY.

Kiep kto odejdzie; pij, albo się bij.

(*biorą go pod ręce i wychodzą. Za sceną słychać okrzyki, między innymi głos kapłana.*)

Niech żyje Koniuszy!

(*po chwili wchodzi kapłan.*)

SCENA VIII.

KAPITAN, *poźniej* GRABA.KAPITAN, *wchodząc.*

A niech was kaci porwą! piją niby buty dziurawe!....
(*z uśmiechem.*) Ja tylko jedno zdroweczko Koniuszego do-
brodzieją. (*prostując się.*) No, ciekawym czy mu pójdzie
na zdrowie?.... (*po chwili.*) Trzydzieści lat!.... ha, piekło!
czemu ja tak paniętam każdy jój uśmiech. każde jój słowo
przychylne, choć nie mnie ono było dane, (*z pogrózką do
drzwi.*) i nie tobie mości Koniuszy! Aleś mi przeszkadzał,
wyzwał do walki, rzucił rękawicę, jam ją podniósł i walczę...
Ręka zapomniała wywijać palaszem, postarzałem się, ale
w piersi, gdzie już serce nie mieszka, tyle mam jadu; tym
jadem bryzną ci w oczy panie Koniuszy!.... (*wchodzi Graba,
do niego zmieniając ton.*) Idzie nam wybornie, Koniuszy
jednogłownie przyjęty; człeczysko ani wie. jakem mu wier-
nie dochował przyjaźni!....

GRABA, *patrząc na niego surowo.*

Oponentów nie ma?

KAPITAN.

A któżby śmiał oponować przeciw tak zacnej figurze?
(*n. s.*) Patrzy jak na winowajcę!

GRABA.

To dobrze; gdzież się Jerzy podział?

KAPITAN.

Koniuszy go fetuje, chciałem właśnie z panem dobro-
dziejem pomówić w jego interesie.

GRABA, *niewiele zdziwiony.*

W interesie Jerzego?

KAPITAN.

Dziwi to kochanego pana?

GRABA.

Przyznam się, że trochę.

KAPITAN.

O nic nie szkodzi, niechże pan kochany siada. (*siadają.*)
Okrzyczano mnie tu w okolicy za skapca, nieużytego, dla
czego? za co? Bóg raczy wiedzieć, sumieniem się świadczę,
że tak nie jest.

GRABA.

W każdej plotce znajduje się zawsze część prawdy. Ale
do czegoż to prowadzi?

KAPITAN.

Zaraz łaskawy panie. Wszak wzięłeś sąsiedzie w arendę
Zapadliska?

GRABA.

Tak jest.

KAPITAN.

I nie dla siebie, boć twoje dobra rozległe, więc dla
Jerzego?

GRABA.

Zkąd pewność?

KAPITAN.

Ztąd panie dobrodziej, że sąsiad pocziwy kocha Irenę,
a Irena moja krewniaczka kocha Jerzego, czyli że chcesz
ich pan połączyć, czemu znowu sprzeciwia się takóż przez
zbytnią miłość najzacniejszy pod słońcem Koniuszy; chcąc
więc Irenie dogodzić, Koniuszego przekonać, Jerzemu do-
pomódz, a panu dobrodziejowi dać dowód uczynności, zano-
szą małą proszeczkę.

GRABA.

Mów pan prędzej. wprowadzasz mnie w niemалą ciekawość.

KAPITAN.

Chwilkę cierpliwości, więc do rzeczy. Jerzy dumna figura, zwyczajnie krew Brożków, nie odemnie nie przyjmie, a chciałbym, jak to już wyżej szanownemu panu oświadczyłem, dopomóż szczerze. po bratersku dopomóż; (*wstając.*) zaopatrz go pan dobrodziej na pierwsze potrzeby sumką niewielką, którą zaraz wręczę; jak się dorobi wtedy mi zwróci i wtedy mu dopiero wszystko opowiesz, dziś wiele mi jeszcze na sekrecie założy. (*widząc że Graba milczy.*) Zacny sąsiedzie, nie odmawiaj téj łaski swemu najpokorniejszemu słudze.

GRABA, *po chwili.*

(*d. s.*) Zle samo przez się musi się pokonać. (*głośno.*) Zgadza mi się kapitanie, jeden warunek jednak położę.

KAPITAN, *z bojaźnią.*

Słucham, lecz proszę o względną decyzją, bo to ja człowiek nie bogaty.

GRABA.

Nie o pieniądzach mowa.

KAPITAN.

Więc już z góry zgoda.

GRABA.

Przyrzekniesz mi pan, że to będzie ostatnia przykrość wyrządzona Koninszemu, że się z nim pogodzisz.....

KAPITAN, *układnie, niby obrażony.*

A panie dobrodziej, do śmierci nie zapomnę; ja, najlepszy przyjaciel i sługa dożgonny Koniuszego. miałbym mu

przykrości wyrządzać?..... (*staje przed Grabą z ręką opartą na piersiach.*)

GRABA, *spokojnie i poważnie.*

Tu nie o słowa lecz o czyny chodzi.

KAPITAN, *trochę zmieszany.*

Nie rozumiem kochanego pana, ale mu przyrzekam i polecam się łasce. (*odchodząc, d. s.*) Daję bez procentu, strata oczywista, ale Koniuszy! Koniuszy! wścieknie się ze złości!... (*odchodzi.*)

GRABA, *sam po namyśle.*

Czy należało mi przyjąć na ołtarz dobrego, czyn w złości poczęty?.... Oh! długoż nam jeszcze egoizm będzie zaciemniał jasną obowiązku drogę?

SCENA IX.

GRABA, JERZY, KONIUSZY, GOŚCIE, *później IRENA, KAPITAN.*

JERZY, *wchodząc ze wszystkimi chwiejącym się krokiem.*

Ej panie Koniuszy, ty mój dziad rodzony i spoileś mnie jak zwierzę; przedź do domu, źle panie Koniuszy.

KONIUSZY.

Nic ci nie będzie, palniemy jeszcze.

GOŚCIE.

Tak, strzemiennego w kolejkę, w kolejkę.

GRABA, *biorąc za rękę Jerzego.*

Panie Jerzy, zastanowileśże się coś zrobić, czyż się godziło?

KONIUSZY, *d. s.*

Musi być nie czysta moja sprawa, kiedy ciągle znachodzę przeszkody.

JERZY.

A to pan Graba..... nic mi nie jest..... nie patrz tak na mnie..... pocziwego wzroku nie wytrzymam..... Koniuszy poił..... poił.... aż spoił nakoniec..... (*gwałtownie zakrywając oczy.*) Puście inni!...

KONIUSZY, *n. s.*

Jest charakter nawet i w pijanym, ale nie mogę, za bardzo ją kocham.

IRENA, *wchodząc.*

Panie Jerzy, proszę mnie sprowadzić.

JERZY, *trzymając się stołu, z boleścią.*

Boże! to ona!

KONIUSZY.

Musi być Jerzy sprowadzić nie zdoła. (*ciszćj.*) Patrz jaki pijany; podobał się?.... (*bierze ją za rękę i przyprowadza bliżej przed Jerzego.*)

JERZY, *z jękiem.*

Pijany!

IRENA, *odwracając się od niego.*

Pijany!

(*idzie do drzwi, wtem wchodzi kapitan i zatrzymuje ją.*)

KAPITAN, *do Ireny.*

Już idziesz? ja z tobą; żebyś wiedziała co to za figlarz z kochanego Koniuszego, którego zawsze poważam, a jaka głowa..... niczem sławny Doregowski: jak zaczął molestować: a Jurku, wnuku, kochanku. jeśli mnie kochasz, nie chcesz pokrzywdzić, wypij, prawie że klękał. Jerzy grzeczny, nie odmówił choć się długo opierał. i spił się nieborak, a Koniuszemu nic; prawda że dziad pil cienkie. wnukowi podsuwał stuletnie: jakie to serce złote!...

IRENA, *do Koniuszego, który słuchał ze spuszczoną głową*

To źle, to nie po ludzku panie Koniuszy.

(wychodzi).

JERZY.

Panie Grabo, co ty o mnie pomyślisz?

GRABA.

Żeś słaby, a każdą słabość, bo ona grzechem w młodym człowieku, trzeba odpokutować.

JERZY.

Oh, jak cierpię okropnie! Ona.... czy wiesz?....

GRABA.

Cicho!.... tu nie miejsce do wyznań, pojedziesz do Zapadlisk.

JERZY.

Jakich Zapadlisk?

GRABA.

Majątku, który wzięłem dla ciebie w dzierżawę; rata z dolu, inwentarz na miejscu, łaski ci więc żadnej nie robię, tylko usługę sąsiedzką. Pracuj, a wszystko naprawisz.

JERZY.

Ależ....

GRABA, *przerzynając.*

Nie ma żadnego ale. *(bierze go pod rękę.)*

KONIUSZY, *d. s.*

Nie słuszniem pokrzywdził chłopaka, taki to krew moja.

SCENA X.

Cis i więcej mężczyźni z kielichami, za niemi służba niosąca butelki.

JEDEN Z OBYWATELI, *zatrzymując Grabę.*

Nikt się krokiem nie ruszy. to zdrowie każdy wypije.

WSZYSCY.

Gdzie nasz marszałek? pijmy długie życie marszałka.

INNI.

Gdzie Koniuszy Brożek?

KONIUSZY.

Musi być powarjowali?....

KAPITAN. *słodko.*

Tak jest panie Koniuszy, przezacne obywatelstwo wybrało cię na marszałka, a tak kontente z wyboru, że nie mogło doczekać galek w sekrecie.

WSZYSCY, *nalewając.*

Pijmy zdrowie marszałka!

KONIUSZY.

Musi być pomyłka, ja się nie starałem.

KAPITAN.

Znając twoje przymioty, ja wszystkiem pokierowałem.

KONIUSZY, *zły.*

Czemużeś asan siebie nie prowadził? (d. s.) Musi być w jednej norze z lisem mieszka.

• WSZYSCY, *obstupując Koniuszego.*

Niech żyje marszałek Brożek! Wiwat Koniuszy! W górę głowę powiatu, a kochaj nas jak braci!..

(*podnoszą go w górę na rękach.*)

KAPITAN, *zacierając ręce.*

Marszałku dobrodzieju, patrz, beczę z radości!....

(*okrzyki, kurtyna spada.*)

Koniec Aktu drugiego.

A K T III.

W Zapadliskach, w mieszkaniu Jerzego.

SCENA I.

JERZY, KONIUSZY, *później* STANISŁAW.

KONIUSZY, *zagniewany.*

Co ty w tej dziurze poleskiej wysiedzisz?... pustynia!... chyba będziesz dziegieć pędził lub smołę produkował!...

JERZY, *siedząc spokojnie.*

I to robota, z której korzyść dla mnie, pożytek dla ludzi.

KONIUSZY.

Korzyść?... nie gniewaj się proszę, ale dudek z waszeczki jeszcze w gospodarstwie.

JERZY, *j. w.*

Sam Koniuszy mówiłeś, że zbiory mam nie złe.

KONIUSZY, *niecierpliwie.*

At wielkie mi rzeczy, toć to nie twoja zasługa. Pan Bóg poszczęścił i basta! zasiać, zaorać lada chłop potrafi.

JERZY, *cingle jednakowo.*

Bez łaski Boskiej nie się nie dzieje, a nie mając swojego od chłopów rozumu się ucę.

KONIUSZY.

Jaka z niego mrówka. musi być myślisz że ci kto uwierzy.

JERZY, j. w.

Wiary się nie narzuca, trzeba na nią zasużyć.

KONIUSZY.

Zasluguj, nie zasluguj, a umnie jęj nie masz.

JERZY.

Mocno żaluję, lecz nie moja wina.

KONIUSZY.

To może moja?... tego tylko braknie.

JERZY.

Zapewne!

KONIUSZY.

Ej! mości panie, co zanadto to już wiesz komu się sprzykrzy, musi być ja nie na to, żeby blażeństw słuchać.

JERZY.

A czyż to blażeństwa?... mówię jak myślę, a do błędów których nie popełniam, przyznawać się nie widzę potrzeby! (z westchnieniem.) I tak ich było dosyć w życiu!

KONIUSZY.

Musi być jeszcze więcej na karteczkę wlezie.

JERZY.

Na czymże Koniuszy ostry sąd opiera?

KONIUSZY.

Na tém co się teraz dzieje.

JERZY.

Wolnoż zapytać o mniemane zbrodnie?

KONIUSZY.

Masz wasan język, lecz i ja nie głupi, widzę co się święci, lecz jak mi Bóg miły! nic z tego nie będzie.

(bierze za czapkę.)

JERZY.

Z czego?... mówmy szczerze.

KONIUSZY.

Niby to nie wiesz, a po co tu siedzisz?

JERZY, *udając zdziwienie.*

Jakto, po co!

KONIUSZY.

Tak, po co?

JERZY, *spokojnie.*

Dzierżawę Zapadliska.

KONIUSZY.

Z Rumianą graniczą...

JERZY.

Także z Zawiszynem majątkiem Graby, Małennikiem kapitana.

KONIUSZY.

Aha, kapitana! W sąsiedztwie bywasz?

JERZY.

Nie wszędzie.

KONIUSZY.

Gdzież to nie zaglądasz?

JERZY.

Do Rumianój.

KONIUSZY, *patrząc mu w oczy, prędko.*

Jurku, powiedz prawdę, nie byłeś w Rumianój?

JERZY, *j. w.*

Całe sześć miesięcy.

KONIUSZY.

Jurku patrz mi w oczy, czy nie łżesz czasami.

JERZY.

To obraza, od kapitana nie brałem lekcji.

KONIUSZY.

Ha, kapitan! po co mi wspominasz tego niegodziwca. musi być marszałka nie prędko zapomnę; ucz się pisać na nowo, ot! miła robota! (*po chwili.*) Tak Irena nie przyjęła ciebie czy co?.... że już nie jeździsz w zaloty? he?

JERZY.

Owszem, prosiła mnie (*z przyciskiem.*) przez kapitana po kilka razy, lecz jechać nie chciałem, nie byłem tam od czasu owego balu.

KONIUSZY.

A wszędzie kapitan niby czarcia siła. (*głośniej.*) Nie byłeś!.... zawsze z interesu, chcesz żeby panna zateśniła. a może i powiedziała pierwsza: kocham cię panie Jerzy. daj mi resztki twojego wykochanego serca. a za to weź Rumianę, kapitał i mnie w dodatku!

JERZY, *mocno.*

Koniuszy się unosi, zapomina. Irena za dumna żeby mogła to powiedzieć. a ja zanadto ją szanuję, żeby móc słuchać podobnych przypuszczeń.

KONIUSZY, *n. s.*

Jest charakter! jest! (*głośno.*) Jakbyś wiedział że nie powie, bo już za mąż idzie. (*patrzy mu w oczy uważnie.*)

JERZY, *żywo.*

Idzie za mąż! (*miarkując się.*) Szczęść Boże! i za kogoż?

KONIUSZY.

Za człeka porządnego, za Grabę.

JERZY. *z uśmiechem.*

Oddycham! starego?

KONIUSZY.

Musi być ser jadłeś, żeś taki dowcipny; za starego!... ot głowa!

JERZY, *spokojnie.*

Bo innego nie ma.

KONIUSZY, *ruszając ramionami.*

A syn Jan zginął, czy go wilki zjadły?

JERZY.

Młody nie przyjmie jej ręki.

KONIUSZY.

Nowiny mi gadasz. Ciekawym dla czego.

JERZY.

Bo już zaręczony.

KONIUSZY.

Zaręczony powiadasz? i z kimże?... oczywista plotka!

JERZY.

Jak to! pan nie wiesz?... z kuzynką Koniuszego z Guzówki.

KONIUSZY.

Żartujesz ze starego. Przecie to ludziska biedni, na trzech chatach siedzą.

JERZY.

Jan nie szuka majątku, pokochał, stary błogosławi.

KONIUSZY, *chodząc.*

Pocziwy człowiek! a ja nie wiedział, musi być wstydem splonę. trzeba im dopomódz. *(do Jerzego.)* Kiedy wyjeżdżasz?

JERZY, *udając że nie rozumie.*

Do miasteczka po konie?... gdy jarmark nadejdzie.

KONIUSZY, *niecierpliwie.*

Nie do miasteczka; gadaj mi porządnie, z Polesia kiedy wyjeżdżasz?

JERZY.

Wziąłem dzierżawę na lat trzy, kontraktu dotrzymam.
a jeśli się poszczęści i dłużej zostanę.

KONIUSZY.

Ot ciebie szkoda na taką figę, ja ci coś lepszego pora-
dę, musi być uściskasz dziada z radości.

JERZY.

Z dobrych rad zawsze korzystać pragnę.

KONIUSZY.

Jedź do Wielkopolski, tam majątek piękny i własny.

JERZY.

Koniuszy mi ciągle przypomnieniem dokucza; przecież
dobra wielkopolskie wzięto w sekwestr.

KONIUSZY, *dając mu papier.*

Proś Boga, żeby ci każdy tak dokuczył. Przeczytaj.

JERZY, *przeczytawszy.*

R a z e m. { (n. s.) Trzykroć.... ktoby się spodziewał takięj hoj-
ności....

KONIUSZY, *n. s.*

Mądry, pięciu nie wziął, za trzykroć się sprzedał

KONIUSZY.

Więc jedziesz?

JERZY, *kładąc na stole papiery.*

Nie, powiedziałem raz, że żadnej darowizny nie przyjmę
i słowa dotrzymam.

KONIUSZY.

Jurku, ty mną pogardzasz.

JERZY, *poważnie.*

Wierzaj mi pan, nikt cię słuszniej i więcej odemnie nie
ceni. po cóż więc te komedje? mówny szczerze: chcesz

mnie pan odsunąć od Ireny, boisz się żeby ten anioł, którego kochasz jak na to zasługuje, nie wpadł w zabrukane ręce moje.

KONIUSZY.

A gdyby?

JERZY.

To mogę pana upewnić, że obawa twoja nie ma zasady, takeś mnie pan poniżył w jej oczach, w takim stanie okropnym przedstawił, że musiała uczuć w sercu tylko pogardę dla człowieka bez charakteru i woli, (*Koniuszy patrzy w ziemię, Jerzy kończy z westchnieniem.*) i więcćj mnie nie zobaczy.

KONIUSZY.

To po co tu siedzisz?

JERZY, *mocniéj.*

Pan byś nie pojął powodu, nie zrozumiał człowieka, który dobrowolnie skazuje się na męki.

KONIUSZY, *d. s.*

Jest charakter, jest.

JERZY, *nie słysząc.*

Starcze styranymi latami. odgrzeb w spopielenych wspomnieniach jaką postać dni młodszych. kwiatek uczuć wiosennych, śmiejesz się z miłości. a jednak tańce chwile urokiem ci wonią.

KONIUSZY, *siada zakrywając oczy, d. s.
z boleścią.*

Marynia, Marynia moja, z której ani kosteczki!

JERZY, *j. w.*

Potęgą wspomnień twoich i potęgą uczucia szlachetnego, które nie miało miejsca żyć jeszcze, jam ją pokochał, odro-

dził pod jój spojrzeniem, a zagrzany niesłyszany dotąd głosem, zechciał być dobrym, szlachetnym, latami pracy zetrzeć brudną plamę; myślałem, kiedy dorównam w cnocie Irenie, ona mną nie wzgardzi!.... I wśród tych marzeń, budzących się chęci, stanąłem przed nią — wiesz jakim!... O to!.... był wielki występki, grzech ten przekonaniem: że ona niedaleko, że tylko kilka kroków i zobaczę, a nie pójść, miłością bez jutra, zwyciężeniem uczucia odpokutować muszę! (z wielką boleścią.) Ja do niój nie pójdę, jam jój niegodzien, nie bój się Koniuszy.

KONIUSZY, *trąc czolo.*

Jurku, wnuku mój, po coś mi to gadal?.... musi być ty poczciwy, ale czekaj jeszcze, nie mogę tak obceś. (*podaje mu rękę.*)

STANISŁAW, *wchodząc.*

Pan Graba przyjechał. (*odchodzi.*)

SCENA II.

Ciż, GRABA.

GRABA.

Dzień dobry panie Jerzy, przywiozłem ci całą brykę nasion i krzewów.

JERZY.

Z pomocą pańską ogród się powiększa, a bardzo lubię kwiatki.

KONIUSZY.

Ja wolę kapustę.

GRABA.

Boś się już postarzał kochany marszałku, oko straciło blask, bez którego samo złe tylko widzimy na świetle.

KONIUSZY.

A gdzie co dobrego zobaczysz?

GRABA.

Nie należę do rzędu marzycieli, jednak zawsze będę utrzymywał, że więcej cnoty jak zbrodni, było i będzie na ziemi.

JERZY.

Moi laskawi goście, czeka mnie we wsi ważne zajęcie, nie miejcie więc za złe, że odejdę, za godzinkę będę z powrotem.

GRABA.

Idź, idź, nic się w polowie nie robi, uczysz lud obowiązków, trzeba ich czynem dowodzić, inaczej praca nie przyniesie spodziewanych owoców.

(Jerzy odchodzi.)

SCENA III.

KONIUSZY, GRABA i EKONOM.

KONIUSZY.

Dokąd Jerzy poszedł?

GRABA.

Założył szkołkę, a że ma dość czasu sam jęj dozoruje i uczy, sposób to najwłaściwszy; lud umie ocenić pracę i chęci, przywiązuje się prędkiej, a wierzy i korzysta więcej.

KONIUSZY.

Musi być tutaj sąsiad częstym gościem?

GRABA.

Blisko codziennym. dopomagam mu radą, której Jerzy nie odrzuca. i jakieś pan mógł się przekonać. tego gospodarzy!

KONIUSZY.

Nie wierzę ja temu.

GRABA.

To źle panie Koniuszy, bądźmy srodzy dla siebie, po-
błażliwi dla bliźnich; upadek, to słabość ludzka, podnieść się,
prawdziwa zasługa.

KONIUSZY.

Gadaj pan zdrow, kto tyle lat przepróżniaczył, ten nie
zechce na starość pracować.

GRABA.

Dla czego?... Czy chorzy nie cieszą się, kiedy przycho-
dząc do zdrowia o kiju chodzić zaczęła? a lenistwo niczém
więcej tylko chorobą moralną człowieka. Zresztą co do Je-
rzego, więcej zawinili ci, którzy mogąc nie przyjęli nad nim
opieki, zapomnieli o sierocie, młodość pragnie uczucia, i
chwytła pierwsze jakie napotka.

KONIUSZY.

Musi być rozkochałeś się w nim panie Grabo.

GRABA.

O tyle ludzi cenię, ile drugim dają. Jerzy w krótkim
czasie zrobił bardzo wiele, są jednak tacy, którzy go więcej
kochają odemnie.

KONIUSZY.

Radbym wiedzieć kto taki?

GRABA.

Powinieneś pan nawet, Irena.

KONIUSZY, *zrywając się.*

A i pan na mnie, zarznąć mnie chcecie, a Irenę zgubić.

GRABA.

Za pozwoleniem. zgubić niewłaściwie się pan wyraziłeś, ja jestem szczerym przyjacielem Ireny i złemu bym nie dopomógł.

KONIUSZY.

To już i pomagać myślisz?

GRABA.

Koniuszy nie chcesz, więc z obowiązku uczciwości. muszę go zastępować. Jerzy kocha Irenę.

KONIUSZY.

Gra w karty, pije.

GRABA.

Źle zrobił, aleś go pan poił, namawiał, grał do spółki, połowę winy weź na siebie, bo on już zmazał ją zupełnie.

KONIUSZY, *z przekąsem.*

Cóż, wypowiadał się?

GRABA.

Spowiedź dla Boga, pokuta dla ludzi. Potrzeba charakteru nie lada, żeby móżdżek i nie jechać, być proszonym, i nie usłuchać, a Jerzy nie był ani razu w Rumianej.

KONIUSZY, *z uśmiechem.*

Doprawdy?

GRABA.

My byśmy tego nie potrafili, przypomnij sobie Koniuszy jakiegoś się strzelał na pistolety, rąbał na palasze z kapitanem o Ireny matkę, która z was żadnego nie kochała.

KONIUSZY, *niespokojnie.*

Cicho, jeszcze kto usłyszy.

GRABA.

Nie ma nikogo, a i dzisiaj choć temu lat trzydzieści, darować sobie nie możecie, kapitan gdzie może panu, pan jemu dokucza.

KONIUSZY.

Kapitan nieczemny ciągle sadło leje, ot i romans Jerzego, to jego konceptu.

GRABA.

Nie przeczę, kapitan źle robi, ale i pan nie jesteś bez winy.

KONIUSZY.

Co, ja?...

GRABA.

Tak pan. bo nienawidzicie się wzajemnie za to, żeście kochali kiedyś, to tak samo, jakbyś się miał uzdrawiające, chłapiąc je w truciznę później zamienić, jakbyś bluźnił świętości.

KONIUSZY, *n. s.*

Trzeba przyznać mi rację, (*głośno.*) lecz cóż ja mu złego zrobiłem?

GRABA.

Jemu nie, tylko przez niego innym, pana miłość nieszczęśliwa podniosła, bo kiedy matka Ireny umarła, zawiedziona na człowieka, któremu wiarę przysięgała, kiedy ten własną winą utracił wszystko...

KONIUSZY, *przerywając.*

Nie utracił, wszak mu Rumiana została.

GRABA.

Nie kryj się przedemną, Irena nie będzie wiedziała, Rumianę oczyściłeś z długów i taką dopiero oddałeś. Więc kiedy stracił wszystko, tyś wziął sierotę na wychowanie.

pielegnował i zrobił z niej najpocześciwszą dziwaczkę, bo u nas pocześciwemu bardzo łatwo zostać dziwakiem, i żyjesz jój życiem, jój szczęściem.

KONIUSZY, *rozrzuwiony.*

To dziecko Maryni, jedyne wspomnienie, porciecha starego...

GRABA.

Ja cię poznuję, kapitan nieszczęśliwszy, bo serce w jakieś siedlisko złości przemienione, nie mając nic do kochania ciągle niespokojne, zazdrości, zemsty pragnie. Kapitan litość budzi, tyś powinien być wspaniałomyślny! Przyznaj się marszałku, Jerzego nie chcesz jedynie dla tego, że go kapitan proteguje.

KONIUSZY.

Kapitan go proteguje dla tego, że ja go nie chcę.

GRABA.

Oba nie macie słuszności, Irena kocha Jerzego.

KONIUSZY.

Kocha, czy tylko na prawdę.

GRABA.

Irena cierpi...

KONIUSZY, *niespokojnie.*

Cierpi, biedne dziecko!

GRABA.

Bądź jój ojcem, Jerzy pocześciwy.

KONIUSZY, *chodząc.*

Wiem że pocześciwy, a zawsze się boje. Niech zaczeka jeszcze.

GRABA.

Dwa razy daje, kto prętko daje

KONIUSZY.

Ja muszę mieć pewność.

GRABA.

A cóż z Ireną przez ten czas się stanie, dziś tak mnie prosiła żeby przywieźć Jerzego. Jerzy nie pojedzie, chciała pisać, ledwo powstrzymałem, a całą rozinową zakończyła wykrzykiem: „Zobaczycie co ja wam zrobię, wszyscy po gniewacie się na mnie!“ Zapłakaną zostawiłem w domu.

KONIUSZY.

Musi być złem zrobił, ale niech czekają, ja z nią dziś jeszcze pomówię.

GRABA.

No to i dobrze, spodziewam się że zwlekać Koniuszy nie będziesz, a z kapitanem zaprzestań kłótni, powiedz mu to otwarcie, podaj rękę, on się nie ośmieli.

KONIUSZY.

Ej! panie Grabo, ty się na księdza urodził i gadasz pięknie, a robisz jeszcze lepiej, no zgoda z kapitanem, żeby nie ty, byłbym malowanym jak dawny marszałkiem, no zgoda z kapitanem. Jurek dobry chłopak. ambitny, grosza nie chce, ale niech poczeka jeszcze. (*ściskają się.*)

EKONOM. *wchodząc.*

(*prędko.*) Kapitan w Zajamiu na sarny poluje.

KONIUSZY, *wpadając w złość.*

Ot widzisz jaki majster! zaraz ja tam lecę, każ konia osiodłać. (*do Graby.*) Do zobaczyska sąsiedzie! a Jerzemu powiedz że na obiad wrócę.

wybiega z Ekonomem.

SCENA IV.

GRABA, *później* STANISŁAW.GRABA, *sam.*

Doprawdy dziwni, dziwni są ludzie, gdyby kto nie zajrzał w głąb ich duszy, nie zapytał, jakim strumieniem krew w żyłach płynie, sądził wedle słów a uczucia nie zbadal, świat ten wydałby mu się jednym złém, w chwili gniewu poczętem!...

(wchodzi Stanisław niosąc gazety.)

GRABA.

Cóż to miesiesz?

STANISŁAW.

Listy i gazety z Warszawy.

GRABA.

Pozwól, przejrzę.

STANISŁAW, *podając.*

Służę panu; w Warszawie nowy hotel budują, restaracji w Angielskim Mary już nie trzyma; na scenie nowy balet; dużo, bardzo dużo świeżych wiadomości.

GRABA.

Jak widzę Warszawa cię interesuje?...

STANISŁAW.

Ba... tam się człowiek wychował, pobierał nauki.

GRABA, *zdziwiony.*

Nauki?

STANISŁAW.

Jużci do rozumu od razu nikt me przyszedł. namęczyłem się też, namęczyłem!

GRABA.

Nad książką?

STANISŁAW.

Nad książką to krótko; wyuczyli mnie ślabizować i oddali do służby, zarzuciłem szkołę a zacząłem się uczyć praktycznie.

GRABA.

Jak to praktycznie?

STANISŁAW.

A to bardzo dobry sposób. Mój pan wysyłał mnie co rano, żeby się dowiedzieć co słychać w mieście, co grają w teatrze, kto umarł... powoli, powoli wykulem cały afisz, następnie coraz prędzej, a w końcu doszedłem do takićj wprawy, że i piszę niezgorzej.

GRABA. *z uśmiechem.*

Rzeczywiście, sposób wysmienity. Nie tęsknisz do Warszawy?

STANISŁAW.

Jużem się przyzwyczaiał, wszedłem w stosunki, póluję, i jakoś mi z tém zdrowiej. Panu Jerzemu także wieś służy, nabral ciała. tylko że posmutniał bardzo, musi się tego... jak w Warszawie mówią, durzyć.

GRABA.

Nie długo się rozweseli.

STANISŁAW.

A może i wesele będzie, umie on to umie! Co to w Warszawie bywało, co dzień bileciki, chwat! teraz trochę się zmienił. pracuje jak ekonom.

SCENA V.

CIE, IRENA.

STANISŁAW, *witając wchodzącą Irenę.**(n. s. patrząc na nią ze zdziwieniem.)*

Tego to i w Warszawie nie bywało, żeby takie porządne damy! .. no!... no. *(odchodzi mrucząc pod nosem.)*

IRENA, *zniechęcona.*

Pan Graba sam. myślałam że zastanę Koniuszego?

GRABA.

Przed kwadransem odjechał, nieza długo wróci.

IRENA.

Wróci niedlugo to dobrze. *(siada.)* Cóż pan sądzi o téj dziwnéj wizycie, nie napróżno przezwaliście mnie dziwaczką.

GRABA.

Sądzę żeś pani niecierpliwa, i radzę odjechać

IRENA.

Zapóźno, kłamka już zapadła, jutro cały powiat będzie o tém mówił...

GRABA.

Po cóż się narażać?

IRENA.

Pytaj pan lepiej po-co kochać?... czemu kwiat pachnie a ptaszek śpiewa?... *(po chwili z rezygnacją.)* A zresztą niech co chcą mówią, ja nie żałuję tego kroku, za pośpieszeniem go potępiła, on zanadto uczuł, słusznie mnie więc pierwszój należy podać rękę. *(biorąc Grabę za rękę.)* Tak, bo bez niego, powiem ci panie Grabo, jak bohaterka romansu, dłużej żyć nie mogę!

GRABA.

Egzaltujesz panno Ireno, nie przypuszczam żeby kilka wizyt...

IRENA, *kończąc.*

Mogło zrobić tak silne wrażenie, o panie Grabo, pamiętaj że wrażenie jedno jest tylko, że każda chwila myślenia, w nowe coraz piękniejsze szaty je stroi, że Jerzy w upadku nawet był pięknym, szlachetnym, bolejącym!..

GRABA.

Przypuśćmy jednak że Jerzy...

IRENA.

Nie trudź się pan przypuszczeniami, a posłuchaj lepiej. Rumianę od Zapadlisk dzieli rzeka niewielka i gąk śpiewny, zielony. Z najwyższego piętra można wszystko widzieć co się tutaj dzieje, i razu pewnego zbiegły się dwa światła, dwóch szkielec unowocnych, jedno w Rumianęj mnie znaleźć chciało, drugie szukało tutaj Jerzego. I odtąd codziennie ta sama historia. Jerzy mnie nie widział, jam go widziała, jak tam żalosne posyłał spojrzenia... Biedny Jerzy, on kocha!...

GRABA.

Lecz to nie powód jeszcze.

IRENA.

Nie powód? dobrze, przekonam silniejszym. Wiesz pan że chęci mój każdej musi towarzyszyć wykonanie, że chciałam go pochwalić za pracę, wytrwanie, pocieszyć, przywiązać silniej do siebie. Uciekłam się do mniej szlachetnego sposobu, i kiedy pomimo zaproszeń nie przyjeżdżał, urządziłam w jego domu policję.

GRABA.

Któż ją stanowił?

IRENA.

To sekret, jedno tylko nazwisko wolno mi wymienić, to jest pańskie.

GRABA, *zdziwiony.*

Jak to! moje?...

IRENA.

Nie inaczej, będąc panem tajemnicy serca mego, domyślając się co w nim się działo, pocieszałeś mówiąc mi o nim po całych godzinach.

GRABA.

Niech panią nie dziwi moje postępowanie. (*z uczuciem.*) Oboje was kocham, i jeśli doradzałem cierpliwość, to jedynie ze względu na Koniuszego, chcąc go ciąglą pracą i spartańską wolą Jerzego, przekonać. Prawda powinna zwyciężać otwarcie, pokonywać bez podstęp.

IRENA.

Jam tylko kobiéta dobry przyjacielu, to nie dziw że tęskniłam, że przemódz się nie mogłam. Ale słuchaj pan dalej, policja moja składała codziennie raporta, a gołosłowne doniesienia poparła ważnym dokumentem. (*dając mu papier.*) Czytaj pan, pisał to do swego przyjaciela w Warszawie.

GRABA, *czytając.*

„Kochany Edmundzie! Jeżeli odbierzesz ten list podczas czytania jakiego romansu, odsuń książkę od siebie, posyłam ci wieści bardziej zajmujące, więcej dziwnie. Ja kocham! kocham nie tą motylą warszawską miłością, lecz całą potęgą, dopiero teraz rozbudzonego uczucia. Nie wszystkom ci jeszcze powiedział, żebyś mógł zaśpiewać towarzyszom, nie ma nadziei, Jerzy nie powróci, kocham bez nadziei i wzajem-

ności, widzę tylko czasem zdaleka, ją piękną, szlachetną, czarującą!...”

IRENA, *odbierając list.*

I tam dalej, następuje opowiedzenie nieszczęsnego wypadku na balu i zreżny panegiryk dla mojej osoby. Można mi ufać i mieć te przykrą nadzieję, że choćby go sam Koniuszy namawiał, nie zajrzy do Rumianej.

STANISŁAW, *za sceną.*

Niech się pan spieszy, czekają na pana mili goście. (*słychać kroki.*)

IRENA.

Boże to on!... zniknęła odwaga... Panie Grabo zostaw nas samych, albo nie, (*po krótkim namyśle*) albo idź, idź.

(*Graba odchodzi bocznemi drzwiami.*)

SCENA VI.

JERZY, IRENA.

(*Jerzy zobaczwszy Irenę staje w drzwiach oświepły, długie milczenie.*)

JERZY, *nieśmiało.*

(*podchodząc.*) Pani co cię sprowadza?

IRENA, *z wyrzutem.*

I pan pytasz jeszcze?

JERZY, *wzruszony.*

Pytam, powiedz mi pani co chcesz, wszystkiemu uwierzę, że powóz złamany, że chcesz pani szkółkę zwiedzić, że... jest jakaś przyczyna.

IRENA.

Pan się jój nie domyślasz?

JERZY, *żywo.*

Nie pani, ja nie chcę, nie mogę się domyślcć.

IRENA.

Dla czego?

JERZY.

Bo i zuchwałym marzeniom młodzieńczym kres oznaczono, gdy je człowiek myślą przekroczy, upada niżej jeszcze, a wtedy ból podwójny, cierpienie straszniejsze!

IRENA.

Więc pan się tak boisz cierpienia?

JERZY.

O nie mów tego pani, ja mu błogosławie, ja cierpiąc żyć począłem, cierpieć to wierzyć, kochać, i boję się, by nie zabrakło mi wytrwania. (*po chwili.*) O gdybyś mi pani powiedziała że jedna twarz co mi z za chmur anielskim wyjrzała wzrokiem, zdobi się szczęścia uśmiechem, gdybyś powiedziała że serce jój przebaczyło brzydką chwilę szalu, wtedy bym cierpiał szczęśliwy!...

IRENA.

Panie Jerzy za srogo się karzesz, zapominasz że nie ty jeden na świecie, (*ciszéj.*) że po za Zapadliskami może i za nie jedna pociekła, może ktoś czeka, tęskni, ktoś bardzo przyjaźny!

JERZY.

Pani nie kończ... przestań... nie szydź!...

IRENA, *z goryczą.*

Takżeś pan mnie zrozumiał? tak przyjdzie moje wytłumaczyć?

JERZY.

Przebacz pani, za chwilę kto nadejdzie, nie powinien cię tu widzieć. zanim to nastąpi dowiedz się pani. dowiedz jeśli ci tego samotność moja nie powiedziała, że każdy czyn do-

bry jaki spełniłem i spełnię jeszcze, każda otarta niedoli łza, w twoim imieniu były poczęte, twego natchnienia są dziełem.

IRENA, *podając mu rękę.*

Dziękuję ci szlachetny panie Jerzy.

JERZY.

Ty i Graba... was dwoje... zesłał Bóg, żebyście przywrócili wzrok ślepemu, zaszczepili uczucie, powrócili wiarę. Kocham świat teraz, i chociaż smutny już nie upadnę; więc wdzięczny, życie me całe, myśli i czynu, cichiej modlitwy o szczęście twoje i marzeń łzawych i wspomnień smętnych ci daję!... (*tułi jej rękę.*) To ostatnie widzenie, nie prędko nie prędko mnie pani zobaczysz.

IRENA, *wzruszona.*

Panie Jerzy, ty przyjedziesz, nie zapomnisz o mnie.

JERZY, *z wysileniem.*

Nie prosz pani dłużej, wracaj do domu, bo tak coś w pierśsiach gorąco, w głowie szumno i w oczach ciemno, jakbym uczucie w ogień przemienił, jakbym się zachwiał już w walce!...

IRENA.

O panie Jerzy, ja zgaduję twoje cierpienia, ty się kryjesz przedemną.

JERZY.

Pani, ty wiesz że cię kocham, a kocham dawno, od słowa, spojrzenia pierwszego, wiesz że niegodny twój przeczystej duszy, więc pozwól mi płakać, pracować, a o mnie zapomnij, jeśliś kochała, a o mnie pamiętaj, gdyś ci bratem tylko!...

IRENA.

A gdybym ci powiedziała: (*podając mu rękę.*) Jam twoja!
Jam twoja!

JERZY.

Ireno!... Ireno!...

SCENA VII.

Ciż, GRABA, KONIUSZY, w końcu KAPITAN.

GRABA, *wchodząc do Koniuszego prędko.*

Widzisz pan, do czegoś ich doprowadził!

KONIUSZY.

Musi być wola Boska, sprzeciwiać się trudno. (*głośniej.*)
No Jurku...

(*Jerzy i Irena. dopiero teraz spostrzegają wejście Koniuszego.*)

JERZY i IRENA.

Koniuszy! (*Jerzy staje pomieszany walcząc z sobą.*)

IRENA, *do Koniuszego.*

(*blagalnie.*) Pracowałeś na szczęście moje lat tyle, pobłogosław gdy szczęście nadeszło.

KONIUSZY, *ściskając ją.*

Ej kobiety, kobiety, nikt was nie nstrzeże; no Jurku, daj rękę, (*łączy ich ręce.*) przebacz dziadowi, co ci tyle przykrości narobił, alem ja ją kochał i chciał widzieć szczęśliwą, teraz wiem żeś dobry, a podziękuj Grabie.

KAPITAN, *wchodząc.*

(*n. s.*) Wszystko stracone! (*głośno.*) Pan Koniuszy się cieszy?

KONIUSZY.

Jak się nie cieszyć, gdy Irena szczęśliwa, a Jurek chwat chłopak!...



255384 i/11

120 -

Biblioteka Raczyńskich

JIK 1204



JIK1204